Rok VIII. Lwów, Niedziela dnia 3. Lipca 1881 r. **Tom XII.**

TYDZIEŃ POLSKI

Nr. 27.

PRENUMERATA we LWOWIE
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł.
— z dodatkiem powieściowym „ 2 „ 50 ct.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
Tydzień . . . . . kwartalnie 2 zł. 50 ct.
— z dodatkiem powieściowym „ 3 zł.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA:
W KSIĘGARNI POLSKIEJ
plac Halicki L. 14.
Godziny redakcyjne od 9—10 rano.

PRENUMERATA w W. Ks. POZNAŃSKIEM
Tydzień . . . . . kwartalnie 6. m.
— z dodatkiem powieściowym . „ 7. „
PRENUMERATA we FRANCJI, ANGLJI, AMERYCE i t. d.
Tydzień . . . . . kwartalnie 7 frank.
— z dodatkiem powieściowym „ 8 „

OPERACJA FINANSOWA NA ŻYDACH.

OBRAZEK ZE WSPOMNIEŃ PRZESZŁOŚCI

skreślił

M. STARCZAK.

(Ciąg dalszy.)

Dobrnęliśmy wodą i lądem do Peterynowa, wsi położonej od Dzisny o pięć wiorst, na trakcie pocztowym mińskim, a należącej do Piotra Dowmonta. Potomek książęcej rodziny, głośnej przed wieki na Litwie i Rusi — dzisiaj... tylko wspomnienie! Cała wziętość i władza ogranicza się na jednej i to dość ubogiej wioszczynie! Na niego, książęcia z rodu i spadkobiercę imienia, które trzęsło losami sąsiadów Rzeczypospolitej Pskowskiej, wypadł dziś los obsłużenia dziśnieńskiego sprawnika. Tu mieliśmy wziąć konie co najmniej do Łużek. Naturalnie, cztery konie i resorowy powóz, żebyśmy się, broń Boże nie strzęśli i nie umęczyli, jadąc bryczką zwyczajną. Z domu obywatelskiego wyjeżdżać... bryczką? Byłoby to uchybieniem dostojności sprawnika i niestosowność tę przy lada okazji mógłby p. Dowmont gorżko odpokutować przy urzędowych swych interesach.

Witał on nas jak zwykle wita się urzędników rosyjskich, a więc uśmiechnięty, wesoły i... »wdzięczny od serca« za odwiedziny. I zaraz stół zastawiony, śniadanie, opowiadania, grzeczności, bo wszystko to przecież należy się sprawnikowi — z urzędu. Nic komiczniejszego, jak przyjęcie w domu polskim urzędnika-Rosjanina! Na oko co innego, a w sercu... lepiej się tego nie dopytywać! Po za przechodnim jednak tych komedyj komizmem, grunt ten, że stosunki z ludźmi urzędowymi i udawanie wypaczają charakter człowieka. To jest najboleśniejsze! Królestwo kongresowe zaledwie lat kilkanaście przechodzi to, co ciąży na Litwie i innych krajach do cesarstwa wchłoniętych całych lat sto, a jednak i w Królestwie nie ten już dzisiaj grunt charakterów!

Ludy składające Rosję, przeszły koleje najazdów waregskich, mongolskich, a potem jedni kniaziowie nawiedzali najazdem dziedziny innych, zanim się skrystalizowała jednopaństwowość dzisiejsza. Wieki to obejmuje. Najechani radzili sobie z najezdcami udawaniem, płaszczeniem się, kornością — i o to charakter ogólny narodu zacierał się, malał... obłuda weszła w swe prawa i nad człowiekiem w jego stosunkach z innymi ludźmi wzięła stanowczo przewagę. Nie mówię, żeby wszyscy byli jednostajni pod strych, ale — proszę mi to darować, ogólna cecha tak się zarysowywa. Wyjątki być muszą, i są zapewne w Rosji ludzie nawet wysoko dostojni, my ich jednak nie znamy, więc nam sądzić wypada wedle wzorów naocznie widzianych. Nic prawdy w stosunkach i obcowaniu, same wybiegi, podejścia, a więc i nic świętego. Tak są z nami, tak też i w obec rządu. Cynizm! nihilizm! Trudno dziwić się nawet, że jedno i drugie tak się rozrosło i wybujało na gruncie rosyjskim. Dziesięć wieków niewoli... to jedna i jedyna odpowiedź..

My także już malejemy. Trzyma się jeszcze wiekami spojony organizm, oraz podstawy jego — moralność i obyczaj... ale pod ten grunt nasz idą podkopy, widocznie mamy szczerby na gmachu, jeszcze nie dawno tak jednolitym... a i odpadki już są — liczne odpadki! Zależność od Rosji, taka zależność i ocieranie się o jej urzędowe czynniki, to nas odmienia i charaktery wypacza.

Po śniadaniu odprowadziłem p. Dowmonta na stronę. Chciałem z nim mówić, lecz on mi przerwał.

— Przepraszam cię, że pierwszy zaczynam. Mój interes ważniejszy. Co to za komedję wyprawiacie i gdzie tak pilno, że aż konną robicie na świat wyprawę? Czyście czasami nowych przepisów nie odebrali i może kazano wam — jak w gruncie jest — naśladować poborców mongolskich? Ze wszystkich reform, ta byłaby najudatniejszą... bo najprawdziwszą. I czemuż u licha bez dzwonka? Przewodnik z dzwonkiem, ty z »bumagami«... cudownie!

— Macie rację, toby charakterowi naszemu najzupełniej odpowiadało, zwłaszcza, że robimy wyprawę arcykomiczną. Jedziemy na żydy... wykonywać ukazy.

— Czy nowe jakie?... Ciekawym.

— Ciekawość schowajcie na potem, a teraz zechciejcie mi odpowiedzieć, czy nam konie do Łużek dacie?

— A naturalnie... dam! dam! Czyż jest siła, żeby sprawnikowi koni odmówić? Jedźcie, wynoście się choć na złamanie karku i zabierajcie wszystkich razem sprawników, strapczych, gubernatorów... zrobimy składkę i damy nawet koni do Moskwy.

— Każcież z łaski swojej zaprzęgać... tymczasem do Łużek tylko.

— A dobrze, miło mi bardzo pożegnać was, chociaż wolałbym, żebyście tak dalej jechali, konno i z dzwonkiem... prawdziwi poborcy mongolscy!

Rozśmiałem się na głos serdecznie.

— Co pan mu tak wesołego powiedział? — zapytał Brańcow.

— Rzecz z nim bardzo zwyczajna. Uparty... no, jak sprawnikowski sekretarz. Jechać i jechać — u niego tylko służba na myśli. Przecież p. naczelnik nie odmówi mi *zaszczytu*... i przyjmie obiadek. Droga szkaradna, prawda... ale na północ w Łużkach staniecie.

Zaprasza... a jednak chce pozbyć się jak najrychlej — więc straszy drogą.

— O, niet... niet! Droga rzeczywiście musi być fatalna — niech pan nas zaraz wyprawi.

Jak było do przewidzenia, cztery konie i kryty powóz stanęły przed gankiem. Z Łużek wyprawią tak samo, a więc przewóz przez rzekę darmo i konie darmo, aż do celu podróży, bo ludzie urzędowi i »*urzędowy*« interes. A cel? Celem wyładowanie rublami od żydów własnej pana sprawnika kieszeni. Jedno z drugiem w zupełnej zgodzie — ciągniemy dalej praktykę stuletnią rządów rossyjskich w polskich zabranych krajach. Konie tylko pocztowe z Dzisny do Peterynowa wypadło zapłacić, bo ani miasto powiatowe, ani utrzymujący w niem pocztę nie podlegają władzy sprawników. Tu *horodniczy* rozpościera swe panowanie. Nie ma jak urzędować w zaborze rosyjskim — być sprawnikiem lub horodniczym na Litwie, a komisarzem włościańskim lub sędzią w kongresowem Królestwie!

Droga tak była fatalną, że ledwie o dziesiątej w nocy stanęliśmy w Łużkach, jakby dla przytrzymania rządcy, który o pościeli już myślał. Mil pięć... i dziesięć godzin jazdy! A pamiętać jeszcze wypada, że to sprawnik jechał i konie cudze. To jedno niech da wyobrażenie ludziom nie znającym Litwy, jakie to tam na wiosnę drogi.

Czy rządca z nas kontent? A jakże! Wybiegł przed ganek i wedle zwykłego ceremonjału zacierał ręce, śmiał się i zapraszał na noc »serdecznie«. Obudził służbę, kazał nastawiać samowar, robić wieczerzę. Czegoż więcej żądać! W duszy klął zapewne sprawników i ich sekretarzy, aleśmy tych sekretów domyślać się nie widzieli potrzeby, dość, że wieczerza była smaczna, herbata dobra, pokój ciepły i pościel miękka. Wszystko to jest, czego urzędnik nawet rosyjski w domu polskim spodziewać się ma prawo... oprócz prawdy i zaufania. Tego jednego nie daje się tak łatwo, nawet za tysiąc interesów korzystnie przeprowadzonych.

Rano nazajutrz byliśmy w miasteczku Łużkach, położonem o trzy wiorsty od dworu. Byłem zdziwiony, kiedy sprawnik od rządcy zażądał do miasteczka koni. Nie mieliśmy żadnego tam interesu, zapytywał mię tylko wczoraj w drodze, czy propinator tam jest rzeczywiście bogaty i czy wygodny ma dom. Tyle... i więcej ani słoweczka, więc tajemnica tu jakaś, nawet przedemną.

— A ja — zapytałem — także z panem mam jechać?

— A jakże — odpowiedział uśmiechając się — pan jesteś tam nieodzownie potrzebny. Znasz czynności kancelaryjne przy sprawniku wybornie i ja tego uczyć się będę od pana, ale... dam panu lekcję czynnej służby sprawnika. Bez tego ani rusz. Przekonasz się, że choć to pierwsze jest dla mnie pole, to na nie wchodzę z taką praktycznością, jakbym się specjalnie na sprawnika urodził. Nie wszystko na pisaniu polega.

Byłem wysoko zaciekawiony tą tajemniczą wyprawą.

Przed wyjazdem prosił sprawnik rządcę, żeby konie do Głębokiego były gotowe, bo jak wróci z miasteczka, zaraz siada i rusza dalej... tak ma pilny interes.

Stanęliśmy w miasteczku przed domem propinatora. Znał mnie, więc chociaż sprawnik nowy, odgadł z kim do niego przyjeżdżam. Żyd jeszcze się kłaniał przed sienią, gdy Brańców był już w dużej izbie szynkowej. Ja wszedłem za nim, za mną gospodarz.

— Fe!... tu szynkownia. Gdzie gospodarza mieszkanie?

Propinator zaprowadził nas przez sień na drugą stronę. Dwa pokoje czyste, porządnie umeblowane, na ścianach cała kolekcja rabinów w ramkach za szkłem, srebrny świecznik zawieszony w środku sufitu... i szafa zapełniona książkami.

— Pięknie, ładnie, czysto — powiedział sprawnik, a za pochwałę żyd mu oddał znowu głęboki pokłon. Czy macie jeszcze i gościnne pokoje?

— Mam, a jakże... mam cztery.

— Aż cztery... i porządne? z meblami?

— Służę jw. panu... może pan raczy obejrzeć.

Wyszliśmy, a propinator przed nami, zabrawszy klucze z gwoździa u okna. Nie byłem tu nigdy i zostałem zdziwiony czystością gościnnych numerów, o co tak trudno na całej Litwie, tembardziej w takich miasteczkach. Sprawnik przeszedł wszystkie pokoje.

— I tu bardzo przyzwoicie, pięknie... dziękuję. A teraz zajrzyjmy gdzie indziej, czy wszystko w tym samym porządku.

Sprawnik pierwszy wyszedł — my za nim. Wróciliśmy do mieszkania propinatora.

— Teraz proszę otworzyć tę szafkę — i wskazał na szafę z książkami.

Zagadka dla mnie rozwiązana w połowie. Żyd pokłonił się nizko i odpowiedział:

— Ny, za psieproszeniem jw. pana... tu tylko książki... i więcej nic.

— Ja pragnę, żebyś mnie dał lekcję hebrajskiego języka. Proszę otworzyć.

Nie było rady! Żyd wyciągnął szufladę z komody, wyjął klucz... szafa otwarta i myśmy przystąpili do »urzędowej czynności«. Na żadnej książce nie było poświadczenia cenzury.

Żyd powyjmowane książki chciał z powrotem wkładać do szafy. Sprawnik na nich ręce położył.

— Nie fatyguj się — ja teraz będę ich gospodarzem. P. sekretarzu, proszę przeczytać na głos ukaz w imieniu najjaśniejszego pana wydany, a potem trzeba spisać protokół.

Sięgnąłem do kieszeni po ukaz... propinator stał przed nami wylękniony, blady i cały drżący.

Akt odczytania skończony — prosiłem gospodarza o papier, pióro, atrament.

— Ny, niech jaśnie pan powiedzieć raczy, co to ma być?

— Co ma być, wy ukaz słyszeli. Bez poświadczenia cenzury nie wolno, a tu nie ma na żadnej. Wszystkie zabieram... skonfiskowane.

— Jak to skonfiskowane?... To znaczy, że do mnie nie wrócą... że to nie moje?

— A tak... nie wrócą, aż przejrzy cenzura, niepotrzebne rzeczy wymaże, pieczęcie położy, a co się jej nie spodoba zupełnie... to już nie wasze stanowczo.

— Czy to podobna?... Tego nigdy nie było! I jakto wymaże?... Co z książki wymazać, kiedy tam *liszniego* (zbytecznego) słowa ani jednego nie ma?

— To już nie moja rzecz... proszę o pióro, kałamarz, papier.

— Ny, można się porozumieć, żeby temu nie robić!

— Co?... jak śmiesz mówić do mnie coś podobnego! Wziatka (łapowe)... co?

— Ny, co wziatka? jaka wziatka?... proszę jaśnie pana, mnie się tak tylko wimknęło. Ja łaski domagam się od jaśnie pana.

Żyd postąpił parę kroków do sprawnika, a ten się przed nim usuwał. Komedja zaczynała być bardzo komiczną, nie chciałem więc jej rozwiązaniu przeszkadzać. Wyszedłem, udając, że idę do szynkowni po atrament i papier. W kwadrans dopiero wróciłem. Żyd układał już z powrotem książki do szafy.

— A papier? — zapytał sprawnik.

— Jakto papier? — odpowiedział mu propinator zdziwiony. — To chyba na temu skrypt, co ja mam podpisywać?

— No, tak!

— Ja, ja... richtig.

Po chwili napisałem deklarację taką: propinator trzy gościnne pokoje, z meblami i opałem wedle potrzeby, wypuszcza odstawnemu kapitanowi Szczygielskiemu na przeciąg sześciu miesięcy od dnia, w którym lokal ten p. Szczygielski zajmie. Dopisałem także na końcu deklaracji, że należność dzierżawna propinatorowi za czas powyższy wypłaconą została.

Żyd deklarację podpisał.

Teraz już cała tajemnica była jak na dłoni. Ledwo w rok potem dowiedziałem się od propinatora, kiedy p. Brańców wyszedł już z urzędu sprawnika w Dzisny, że oprócz lokalu dla Szczygielskiego, dał mu jeszcze 100 rubli łapowego, za uwolnienie ksiąg od przeglądania w cenzurze.

(Ciąg dalszy nastąpi).

AUSTRJA, NIEMCY I SŁOWIANIE

UWAGI POLITYCZNE.

(Przekład z rosyjskiego.)

(Ciąg dalszy)

Gdyby pan Aksakow rozumiał znaczenie narodowej mowy, oraz znaczenie zgody polityki wewnętrznej z zewnętrzną, nie umieściłby zapewne w swojej gazecie uwag, niby to zjadliwych, a w istocie rzeczy fałszywych, o rozumowaniach niektórych organów prasy względem rozprzestrzeniania małoruskiego języka. Smutna

historja zakazu druku książek, śpiewania pieśni, teatralnych przedstawień w małoruskim języku i używania tego języka w cerkwiach i szkołach, tak silnie przyczyniła się do rozszerzenia tej, i bez tego dość już głębokiej, przepaści, jaką utworzył między Słowianami i nami „spór Słowian pomiędzy sobą,“ to jest poprostu mówiąc nasze stosunki z Polakami, że gdyby tylko „Ruś“ miała o tem najmniejsze wyobrażenie, nie omieszkałaby stanąć w pierwszym rzędzie uczciwych dziennikarzy, broniących język małoruski od niesprawiedliwych i niczem nieuzasadnionych prześladowań. Nigdy nie zapomnę tego wahania, tej niby obawy, ażeby mnie nie obrazić, z jaką znany chorwacki slawista, Kukuljewicz, po długim namyśle, nieznacznie odwróciwszy się od obecnych, szepcząc mnie raz zapytał: „Powiedz mi pan, tylko się nie obrażaj, i sumiennie mi powiedz, czy to prawda, co mówią, że u was w małoruskich guberniach, ani w cerkwiach, ani w szkołach nie używa się małoruskiego języka, a nawet drukowanie książek w tym języku ma być niby zakazanem?“ — Nigdy nie zapomnę tego wyrazu gorżkiego zdumienia, prawie cierpienia na twarzy, z którem biedny starzec milcząc patrzał na mnie przez kilka minut, kiedy ja, nie chcąc kłamać, przymuszony byłem odpowiedzieć, że tak, to prawda. „Boże mój, cóż to znaczy! zawołał, nakoniec, cóż to lepszego od Madjarów! A myśmy, dalibóg, mniemali, najmocniej byliśmy przekonani, że to były nikczemne oszczerstwa madjarskich i niemieckich dzienników. Oni massę takich oszczerstw miotają. A tymczasem to prawda... Ach! jak to smutno, jak smutno!“ Wykrzyknik ten zwrócił powszechną uwagę na nasze a parte, zbliżyło się kilka osób, zaczęło zapytywać o co idzie... Serdecznie bym pragnął, ażeby na mojem miejscu znajdował się autor zjadliwych uwag w „Rusi“, gdy rozległo się ogólne: „Boże wszechmogący!“ i zarazem posypały się zapytania i komentarze. A towarzystwo składało się z trzydziestu osób różnych słowiańskiej narodowości. Przytem natychmiast zaczęto mówić i o przywiślańskim kraju. Starałem się, o ile mogłem objaśnić moich współbiesiadników, że zakaz małoruskiego języka jest tylko środkiem czasowym i do tego zaprowadzonym przez drugorzędne czynniki administracyjne, lecz obawiam się, że moje rozumowania nietylko że nie osłabiły wrażenia, ale jeszcze dolały oliwy do ognia. Gdybyż rzecz cała skończyła się jedynie na podobnych epizodach, toby uszło jeszcze, ale prześladowanie małoruskiego języka przyniosło istotną, dziś jeszcze nie obliczoną szkodę dwom gałęziom południoworuskiego plemienia — Rusinom halickim i węgierskim Rusinom-karpackim. Zwłaszcza ostatnie, nieszczęsne plemię, zupełnie straciło głowę wskutek naszego postępowania, które do dziś dnia przeszkadza jego odrodzeniu w daleko wyższym stopniu, aniżeli ucisk Madjarów. Zdawać się to może niepojętem, a nawet nieprawdopodobnem, ale rzecz w tem, że nasi domorośli słowianofile spowodowali prześladowanie małoruskiego języka w Austrji i Węgrzech daleko wcześniej, aniżeli to uczynili urzędowo w samej Rosji. Założywszy sobie, niewiadomo po co i na co, cel, dowieść nie tylko pokrewieństwa, czego nikt nie zaprzeczał, ale i absolutnej tożsamości Małorusinów z Wielkorosjanami, panowie ci, bądź co bądź, zamyślili przymusić wszystkich Małorusinów, gdziekolwiekbądź by się ci znajdowali, mówić nie inaczej, jak po wielkorosyjsku. Na swe nieszczęście, ani zakazać narodowego języka, ani wprowadzić przymusowej nauki języka rosyjskiego w Austrji i Węgrzech nie mogli; natenczas rozpoczęli czynną propagandę wśród Rusinów halickich i karpackich, namawiając ich, ażeby dobrowolnie zaczęli mówić po rossyjsku, gdyż tylko tym sposobem mogą, jakoby otrzymać pomoc Rossji i doczekać się wkrótce przyłączenia do ogólnej masy swoich braci w Rosji, w razie zaś przeciwnym, Rosja nie zechce ich znać i nie pozostanie im nic, jak zginąć pod brzemieniem polskiego i madjarskiego ucisku. Lud tych mów słuchał, biadował nad swą gorżką dolą, lecz mówił dalej, ma się rozumieć, po swojemu, bo nie mógł przecież przyswoić sobie obcej mowy darem ducha świętego. Propagatorowie nie zrazili się. Zaczęli radami i pieniądzmi podtrzymywać w Galicji lwowskie „Słowo“, gazetę polityczną i literacką, wydawaną, według mniemania jej redaktora, w języku rosyjskim, w rzeczywistości zaś, w jakimś komicznym, języku sztucznym, w skład którego weszły wyrazy i zwroty rosyjskie, małoruskie, polskie i niemieckie, lecz który obcym jest zarówno wszystkim tym językom, a także spróbowali wydawać w Karpackiej Rusi, stosując się do smaku publiki, polityczno-satyryczną gazetkę z obrazkami „Sowę.“ Ta ostatnia zresztą, bezpowrotnie upadła w pierwszym roku swego istnienia, albowiem liczba jej prenumeratorów, nie dających się zwabić ani tytułem charakterystycznym, ani nawet wcale nieźle wykonanemi obrazkami, nie dosięgła nawet 50. Po tak smutnym końcu, propagatorom pozostało jedynie ograniczyć się do wydawnictwa różnych ludowych książek. Gazety te i książeczki drukowały się przy pomocy po części, byłego moskiewskiego słowiańskiego komitetu, po części zaś drugiego, niestety bardziej „kompetentnego“ stowarzyszenia, co w znacznym stopniu wzmacniało szkodliwy wpływ wszystkich tych zabiegów, nadając im charakter jakoby dotykalnego politycznego faktu. Jeszcze „Słowo“ — dzięki znajomości języka rosyjskiego przez jego redaktora i współpracownictwu kilku ludzi, z tych, którzy w znacznej liczbie wychowywali się w Rosji, za rosyjskie pieniądze, jako stypendyści — cokolwiek zrusyfikowało się, a liczne, całemi szpaltami przedruki z gazet rosyjskich (prawie z samych tylko „Moskiewskich Wiedomostiej“) nadają mu choć w karykaturze, zawsze jednak rosyjski pozór. Ale komu zdarzało się rzucić choć raz wprawnem obiem na nieboszczkę „Sowę“, i na karpacko-ruskie książeczki, ten na wieki zachowa przekonanie, że wydawnictwo podobnych, istotnie strasznych utworów, jest nietylko poprostu daremnem usiłowaniem, ale stanowczo szkodliwą polityczną rzeczą. Niepodobna sobie wyobrazić co to jest takiego. Nie jest to nawet niestrawna sie kanina nakształt halickiego języka „Słowa“ — to jakaś do dzikości bezsensowa beltanina, w której zachowały się tylko niektóre rosyjskie wyrazy, ale rosyjskie zwroty, duch rosyjskiego języka, znikły bez śladu. I taką to antinaturalną beltaniną uczą mówić i każą pisać nieszczęsnym młodym ludziom, synom księży, z których właściwie składa się jedynie cała maleńka garsteczka, zaledwie poczynającej odradzać się karpato-ruskiej inteligencji. A swój język narodowy, czysty małoruski język, nieszczęśliwi ci uważali tymczasem jako rewolucyjny. Przemądre to pojęcie, zaszczepił karpato-ruskiej młodej inteligencji, kierownik jej na drodze politycznego zbawienia, i gorliwy propagator owej beltaniny, zmarły ksiądz royjskiej cerkwi w okolicach Pesztu, ojciec Kustodjew. Jako okaz „rewolucyjnej“ książki pokazywano mi jedną: *Powieści Osipa Fedkowicza!* „Czytałeś pan tę książkę? zapytałem. „Nie, ja podobnego plugastwa nie czytuję, i nikt u nas nie czyta. Nam ojciec Kustodjew radził nawet spalić tę książkę“. — „Pan musisz się cokolwiek mylić — odpowiedziałem. Ojciec Kustodjew nie mógł książki tej nazywać rewolucyjną, albowiem są to prześliczne, artystyczne powieści, pewnego najniewinniejszego małoruskiego poety w Galicji, w których tyle jest ducha rewolucyjnego, ile w tym zeszycie „Ruskiego Wiestnika“, który mi pan przyniosłeś wczoraj“. Odpowiedziano mi, że to książka bez kwestji rewolucyjna, albowiem drukowaną jest „kuliszówką“ i w narzeczu ukraińskiem. Wszystko to wyjaśnił karpato-ruskiej młodzieży, tenże sam ojciec Kustodjew. I ona, nieszczęsna, temu wierzyła, głęboko przekonana, że całe jej i narodu całego zbawienie leży w dzikiej beltaninie, której kazano jej uczyć się jako języka rosyjskiego. Nie podejrzywała ona, że właśnie beltanina ta, uczyniłaby lud karpato-ruski najzupełniej obcym wśród wielkiej rosyjskiej rodziny, gdyby lud ten kiedykolwiek się do niej przyłączył. Możnaż wyobrazić sobie położenie bardziej tragiczne, możnaż wymyślić bardziej przestępny środek stępienia i rozkładu narodowego rozumu? Czyż można się dziwić po tem wszystkiem, że tylko co rozpoczęte odrodzenie karpato-Rusinów zupełnie przygłuchło i że najlepsze, najbardziej silne i żywe młode umysły, nie mogąc pogodzić się z całem tem kłamstwem i martwotą, oddzielają się od narodowej sprawy i madjaryzują się do szpiku kości? A lud? Lud kostnieje w najopłakańszej ciemnocie. Beltaniny owej, oczywiście, nie nauczył się i nie nauczy się nigdy, książek nią drukowanych nie czyta, i po większej części, jako niepiśmienny czytać nie może, a nie wielu piśmiennych włościan, zna wyłącznie tylko alfabet madjarski. Oto są rezultaty prześladowania małoruskiego języka na Rusi karpackiej. A w Galicji, gdzie język ten ogłoszony był także jako rewolucyjny, groziło ono owocami jeszcze bardziej gorżkiemi. Tam, pomimo wszelkich krzyków o polskim ucisku, przymusowej polonizacji i t. d. Rusini cieszą się bardzo szerokim zakresem narodowych swobód. Mają oni swoje własne szkoły, od ludowych do wyższych (na lwowskim uniwersytecie, jak wiadomo, jest kilka katedr czysto rusińskich), swoje własne prywatne i polityczne stowarzyszenia, posiadające znakomite kapitały i nieruchome majątki, własną prasę i swoich własnych przedstawicieli w Sejmie i w Rajchsracie. Tak uciskany naród nie tak łatwo było otumanić, jak zakutych i poniżonych Rusinów karpackich. Rusińska inteligencja powstała na kierunek, jaki chciano jej narzucić z zewnątrz, odrzuciła z oburzeniem zamierzone skażenie języka, tego palladium narodowości i, jak to zwykle bywa w podobnych razach, rzuciła się w wprost przeciwną ostateczność.

Znalazło się kilku ludzi, którzy, nie zadowalając się wydawaniem gazet, książek ludowych i innych w języku małoruskim, zaczęli dowodzić, że nauka języka rosyjskiego, nawet prawdziwego, jest dla Galicjan zupełnie niepotrzebną. Utworzyło się, tak zwane, stronnictwo „narodowców“, wrogie Polakom, lecz również wrogie i Rosji. Pan Płoszczański, redaktor „Sło-

*

wa“, wielbiciel i naśladowca pana Katkowa, nie zaniedbał puścić w ruch broni, której z takiem powodzeniem używał jego prototyp. „Słowo“ zaczęło zapełniać się insynuacjami a czasem i prostemi denuncjacjami na działalność halickich narodowców w ogóle i na tego lub owego z nich w szczególności. Gazeta przekształciła się na pomocnika policji. Walka zawrzała sroga. Ogół podzielił się na dwa obozy, które niejednokrotnie ścierały się z sobą nawet na zebraniach publicznych. Ale po kilku latach takiej walki pokazało się, że siły przeciwników nie równe. Sztuczne i do ostateczności nieprzebierające w środkach stronnictwo „Słowa“ tajało jak wosk. Zaprzestało go czytać nawet duchowieństwo, na którem dziennik ten jedynie się opierał. Zdarzały się i powtarzały się coraz to częściej wypadki zwrotu, nawet gratisowych egzemplarzy. O ile działalność p. Płoszczańskiego przyczyniała się do powodzenia sprawy rosyjskiej w Galicji, można widzieć z następujących słów, wziętych z wydanej w końcu 1879 r. książki ojca Kaczały „Polityka Polaków względem Rusi“. „Rzeczywiście stronnictwa umiarkowanych (dążących do zgody z Polakami), być może, dawno by już nie było, gdyby „Słowo“ i jego stronnictwo nie drażniło ich i nie odtrącało.“ (str. 364). U tegoż autora, jednego z wybitniejszych narodowych działaczy, kilka lat temu i do roku przeszłego delegata do Rajchsratu, i w tejże samej książce napisanej w jawnym, zapowiedzianym w przedmowie, celu dowiedzenia historycznej niesprawiedliwości Polaków względem Rusinów, znajdziemy również jasne ślady wrażenia, wywartego na Haliczan zakazem narodowego ich języka w Rosji. Oto co się mówi na str. 362. „Rusin w Galicji nie ma przyczyny dążyć do zjednoczenia się ani z prawosławiem ani z Rosją: *a)* z prawosławiem dla tego, że ono ma także posłużyć jako środek wynarodowienia; *b)* z Rosją zaś dla tego, że choć Rusini w Galicji faktycznie pozbawieni są praw politycznych, to jednak *w Austrji żyć im lżej aniżeli w Rosji, gdzie nie tylko pisać, ale i mówić a nawet śpiewać po małorusku nie wolno.*« A o dziesięć stronnic wyżej stoi: „Spór Polsko-rosyjski, nie jest jedynie sporem dwóch narodów, jednego ciemiężącego, drugiego ciemiężonego, ale sporem dwóch o hegemonję nad narodem trzecim — narodem rusińskim.“

Tak wyraża się człowiek, który długoletnią działalnością dowiódł i miłości swej do narodu i głębokiej sympatji do Rosji. Co się zaś tyczy do zwymyślanej, oszołomionej, zaciętej młodzieży, to wiele, bardzo wiele razy zdarzyło mi się słyszeć z jej ust takie n. p. zdania: „Nam wszystko jedno pod kim się zjednoczyć — pod carem czy pod cesarzem (cesarzem nazywają Haliczanie cesarza austrjackiego), byle w kupę. Jeszcze pod cesarzem lepiej; tu nas duszą, ale nie mordują.“ I to mówili mi rewolucjoniści, nie socjaliści, ale prostoduszni i uczciwi mieszczanie, kochający swój lud i dbający o jego narodową przyszłość. Wszyscy oni, dawniej, ciążyli do swego naturalnego centrum — do narodu rosyjskiego, a teraz nie wszystko jedno gdziekolwiek się zjednoczyć, byleby tylko pozostać samymi sobą. A co gorsza jeszcze, mówili tak nie sami tylko poddani austrjaccy... Kto spowodował tę zmianę, kto włożył im w serca obawę o samoistność narodową, jeżeli ta będzie związaną z Rosją?

(Dokończenie nastąpi.)

ĆWIARTKA PAPIERU.

Fundusz na pomnik Mickiewicza doczekał się oryginalnej, a wielce szacownej ofiary.

Jest nią pożółkła od starości, przedarta, niebardzo czytelnem pismem pokreślona ćwiartka papieru, która przeszło pięćdziesiąt lat przeleżała w starannem zachowaniu, jak cenna relikwja, jak drogi zabytek pamiątkowy, na który bez drżenia serca spojrzeć nie można, a który mimowoli ręka do ust niesie po pocałunek czci i uwielbienia...

Rozmaitą wartość mają rzeczy na świecie; jakąż może mieć świstek przedarty do połowy, porzucony kiedyś przed pół wiekiem, skazany na zatracenie, jak szpargał nieużyteczny? a jednak dzisiaj o ten szpargał — pewni jesteśmy — dobijać się będą i nakładać cenę na wagę złota, już nie dla samego celu, który na tak żywą zasługuje sympatję u naszego ogółu, ale dla samej chęci posiadania pamiątki po największym z wieszczów polskich.

Świstek ten bowiem jest kartką z bruljonu Adama Mickiewicza.

Przed laty z górą pięćdziesięciu rzuciła na nią ręka genjalnego poety pierwsze zarysy „Powieści Wajdeloty“ z »Konrada Wallenroda.“

Znać to po piśmie szybkiem, niedbałem, po braku wszelkich prawie znaków pisarskich, po urwanych wyrazach, że wieszcz posłuszny natchnieniu, w gorączce tworzenia, wysnuł ten ustęp; że ręka zaledwie błyskawicznej myśli nadążyć mogła.

Dość porównać ten pierwszy szkic z wykończonym później ustępem do druku, aby się przekonać, jak mistrz starannie wyrzeźbił swą „Powieść«, jak w chwilach rozwagi dodawał i ujmował rysy swojemu dziełu, aby je jak oszlifowany brylant oprawić w poemat o „Konradzie.“

Jednak ten pierwszy pomysł, ten bruljon, uświęcony gorącem natchnieniem wieszcza naszego, przedstawia nietylko charakterystyczną wartość dla krytyka, ale też wysoko pamiątkową, jako świadectwo pierwszego narodzenia się poetycznej myśli w głowie poety, jako wspomnienie jednej z błogosławionych chwil natchnienia, którym arcydzieła naszej poezji zawdzięczamy.

Dla porównania powtarzamy bez zmiany ten ustęp, zachowany na podartej kartce bruljonu.

. . . .

I jak sokół na ptaki z góry na dachy uderza.
Kowno w gruzy runęło, Litwa do Kiejdan uchodzi,
W gruzach runęły Kiejdany, Litwa po górach i lasach
Broni się. Niemcy dalej ciągną, plądrują i palą.
Kiejstut z Walterem pierwsi w bitwach ostatni w odwrocie
Nocą, gdy jadą w obozy z wyszczerbionymi mieczami
I porąbaną zbroicą, kurzem, ranami okryci
Kiejstut zawsze spokojny — od dzieciństwa przywyknął
Bić się z nieprzyjacielem, wpadać, zwyciężać, uciekać
Wiedział, że jego przodkowie zawsze z Niemcami walczyli
Idąc w ślady swych przodków, bił się i nie dbał o przyszłość.
Inne były Waltera myśli, schowany wśród Niemców
Znał potęgę zakonu, przyszłość ojczyzny zgadywał
Prusy broniły się niegdyś, starła się przemoc krzyżaków [(teutonów)
Widział niedolę pobitych, drżał nad losami rodaków.
Synu, Kiejstut zawołał, zgubnym ty jesteś prorokiem
Z oczu mi zdarłeś zasłonę, aby przepaście pokazać
Kiedy ciebie słuchałem, zda się, że ręce osłabły
I że z nadzieją zwycięztwa z piersi uciekła odwaga.
Cóż my teraz poczniemy — Ojcze, Walter powiadał
Wiem ja sposób na Niemców, straszny, skuteczny, niestety
Może kiedyś objawię. Tak rozmawiali w obozie
Słucha biedna Aldona, nie rozumiała wszystkiego
Lecz jej serce przeczuwa coś okropnego w przyszłości.
Kiejstut coraz smutniejszy. Walter jak mocno zmieniony.
Dawniej chociaż nie bywał nigdy zbytecznie wesoły
W chwilach nawet szczęśliwych lekki mrok zamyślenia
Lice jego zasłaniał, ale w objęciach Aldony
Dawniej miewał pogodne czoło i lica spokojne
Zawsze ją witał uśmiech, czułem żegnał spojrzeniem,
Teraz zda się, że skryta jakaś dręczyła go boleść.
Siedzi milczący i duma, albo w samotność ucieka;
Cały ranek na dymy wiosek płonących pogląda,
Obłąkanemi oczyma, w nocy porywa się ze snu
I wybiegłszy dalekich łunę pożarów uważa.
Co ci mężu kochany pyta ze łzami Aldona
Co mnie — mamże spokojnie czekać aż Niemcy nadbiegą
I sennego związawszy w ręce katowskie oddadzą
Boże uchowaj, Walterze, straże pilnują okopów.
Prawda żono, nie może stać się, mam oręż
Słuchaj, jeśli starości, nędznej starości dożyję,
Jeśli Bóg nam zdarzy z dziatek pociechę i Niemcy
Nocą wpadną zabierać synów, uwiozą daleko
I nauczać wypuszczać strzały przeciwko rodziców
Ja sam możebym ojca możebym braci mordował
Gdyby nie Wajdelota. — Drogi Walterze ujedźmy
Dalej w Litwę, skryjmy się w lasy i góry od Niemców.
— My odjedziem, a inne matki i dzieci zostawim
Jak uciekali Prusacy, Niemiec ich w Litwie dogonił.
Jeśli nas w górach dośledzi — daldj pojedziem mój drogi
— Dalej, dalej nieszczęsna, dalej wyjedziem na Litwę
W ręce Tatarów i Lachów. Na tę odpowiedź Aldona
Pomięszana umilkła, pierwszy raz słyszy, że Litwę
Można całą przejechać, że dokoła są wrogi
Jej się zdawało dotychczas, że Litwa jak świat jest szeroki
Załamawszy ręce, pyta Waltera co począć.
Jeden sposób Aldono, jeden pozostał litwiny
Skruszyć potęgę zakonu, mnie ten sposób wiadomy,
Lecz nie pytaj dla boga; stokroć przeklęta godzina,
W której od wrogów przymuszon, chwycisz się tego sposobu.
Więcej nie chciał powiadać, prośby Aldony nie słuchał
Litwy tylko nieszczęścia słyszy i widzi przed sobą
Aż nakoniec chęć zemsty mu duszę objęła
Wszystkie stłumiła uczucia, nawet jedyne uczucie,
Które mu życie słodziło, nawet uczucie miłości.

Nie potrzeba być zapalonym entuzjastą, aby z jakiemś dziwnem wzruszeniem dotykać się tej pamiątki po największym poecie Słowiańszczyzny, aby wpatrując się w to niedbałe, pokreślone pismo, nie zwiesić choć na chwilę zadumanej głowy i w myślach, cofnąwszy się o pół wieku wstecz — nie przedstawić sobie naszego wieszcza gdzieś w Moskwie, czy w Petersburgu pochylonego nad tą kartką z okiem błyszczącem, z jaśniejącą twarzą, spisującego z duszy „Powieść Wajdeloty...“

Cenną tę pamiątkę zawdzięcza fundusz budowy pomnika Adama Mickiewicza szlachetnej ofiarności prof. Antoniego Stanisławskiego, znakomitego tłumacza „Boskiej komedji“, który ją na ołtarzu dobra publicznego złożył redakcji *Kurjera Warszawskiego.*

W roku 1853 dzisiejszy jej właściciel otrzymał ją w podarunku od pani Heleny z Szymanowskich Malewskiej z nadmienieniem, iż kartka ta przez Mickiewicza na wyjezdnem z Petersburga r. 1829 przedartą i porzuconą została.

Czyja ręka podniosła ją i zachowała, gdzie się podziały inne kartki bruljonu „Konrada Wallenroda“, w jakiej chwili i z jakiej przyczyny poeta zniszczył nieużyteczny skrypt — nie wiemy, i chyba jedyny i najwiarogodniejszy w tym razie świadek tych czasów, towarzysz i ukochany przyjaciel Adama, Antoni Edward Odyniec, mógłby w swoich wspomnieniach znaleźć objaśnienie.

W listach jego »Z podróży«, a mianowicie w opisie przyśpieszonego wyjazdu Adama z Petersburga w dniu 25 maja 1829 r., nie znajdujemy żadnych w tym względzie wskazówek, ani śladów do domysłu.

Bardzo rzecz naturalna, iż wieszcz nasz, pakując się w ową noc nieprzespaną, aby na ósmą rano stanąć na statku, który odwieźć go miał do Lubeki, w pośpiechu układając rzeczy i porządkując papiery, zniszczył co niepotrzebnem mu się już wydawało, a więc i bruljon wydrukowanego pod ten czas „Walenroda".

„Grono bliższych przyjaciół, zawiadomione o odjeździe — pisze szanowny autor w swoich „Listach z podróży" — we łzach otaczało Adama.

O trzy kwadranse na ósmą już go łódka wiozła na statek; o samej ósmej głos dzwonka, świst pary, szum wody i okręt ruszył poważnie wzdłóż rzeki!

Adam stał na pokładzie, odkrył głowę i chustką ku nam powiewał...

Blask słońca jakoś ogniście odbijał od barwy jego płaszcza i po tem tylko najdłużej można go było rozróżnić"...

Między żegnającemi Adama była i matka Celiny Szymanowskiej, późniejszej żony naszego wieszcza, która nie najmniej łez ze wszystkich wylała po odjeździe poety; bardzo być może, iż ktoś z przyjaciół na pocieszenie przyniósł „panienkom" na pamiątkę kilka kartek rękopismu, porzuconego przy pakowaniu, że z tych kartek jedna przechowała się najdłużej w rodzinie Szymanowskich, w schowaniu u owej „panny Heleny, mniej pięknej, ale pełnej życia, dobroci i wesołego dowcipu" siostry Celiny, a od niej przeszła dopiero w roku 1853 do rąk szanownego prof. Stanisławskiego, który dzisiaj tak szlachetny robi z niej użytek.

Nie spodziewał się nigdy Mickiewicz, ani nikt z jego najbliższych, że kiedyś kartka rozdarta z jego manuskryptu będzie miała znaczenie i wartość takiej ofiary.

m.

Z HEINE'GO.

O dziecię! byliśmy dziećmi
Tacy figlarni, weseli —
Nieraz w kurniku pod słomą
Skrycieśmy sobie siedzieli.

A gdy kto obok się zjawił,
My zaraz w krzyk: kukuryku!
I każdy odchodził z myślą
Że to piał kogut w kurniku.

Tapetyśmy naklejali
W skrzyni na dworze rzuconej;
Tam było nasze mieszkanie,
Tam były nasze salony.

Nieraz tam do nas z sąsiedztwa
Kotka z wizytą chodziła.
Kłanialiśmy się jej nizko,
Prawiąc grzeczności co siła.

O powodzenie szanowne
Pytaliśmy się jej słodko;
Tak samo z niejedną odtąd
Robiliśmy młodą kotką.

Czasem znów bawił nas dyskurs
Toczony z powagą całą:
Jak dawniej, za naszych czasów
Lepiej na świecie bywało.

Jak miłość, wierność i wiara
Zniknęły gdzieś z naszej ziemi,
Jak dzisiaj kawa jest drogą,
Jak są pieniądze rzadkiemi.

Przeszły dziecięce zabawki,
I wszystko przeszło jak mara —
Pieniądze, świat, nasze czasy,
Miłość i wierność i wiara.

St. Rossowski.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Powoli zaczyna się Lwów wyludniać. Słabi na ciele, a mocni na kieszeni rozpuściwszy skrzydła zachciankom, odlatują w szczęśliwsze kraje, w których mogą zostać prowizorycznymi grafami i napić się gorżkich, lub słono-kwaśnych wód do woli. Inni znów spracowani umysłowo wśród tylu dolegliwości życia, wiozą szlachetne grzbiety swoje pod biczowanie fal morskich, inni wreszcie nie wiedząc co zrobić z zapuchniętym nosem od przyjemnych pełtwiańskich wyziewów, szukają schronienia pomiędzy górami i nad rzekami, żeby pośród poetycznych niewygód, zwanych letniem mieszkaniem, odzyskać stracone powonienie. Szczęśliwej drogi łaskawi czytelnicy — jedźcie z dobrą miną, z pełnym tłumokiem nadziei, lecz nie zapominajcie zabrać z sobą „Tygodnia Polskiego", który ma wielką ochotę towarzyszyć swoim czytelnikom, aż do śmierci...

Drugi kontyngens uciekających ze Lwowa stanowią teraz panienki wypuszczone z klatek pensjonatów prywatnych, które właśnie w tym tygodniu odbywszy paradę egzaminowaną, pootwierały drzwiczki dla tych niewinnych ptasząt, pragnących popróbować uroczych skrzydełek swoich. Nie byliśmy na żadnym z popisów prócz w zakładzie p. Boberskiej, a to z obawy zbytecznego rozczulenia naszego ojcowskiego serca. Za to czytaliśmy już w dziennikach miejscowych sprawozdania z dwóch takich uroczystości, które powiedzmy prawdę, stawiają nas w położeniu świętej pamięci Ezopa, wystawionego razem z dwoma niewolnikami na sprzedaż. Gdy jednego z owych niewolników zapytał kupujący co umie? — odpowiedział on: „wszystko" — zapytany drugi — powtórzył też samą odpowiedź, a gdy przyszła kolej na Ezopa — ten odpowiedział: „nic". Dlaczego nic? Dlatego — mówi z pokorą, że dwaj koledzy moi zabrali mi już wszystko, tak, że dla mnie nic z umiejętności nie zostało. Otóż i ja względem pensjonatu pani Boberskiej i wobec wygłoszonych na piśmie panegiryków o dwóch innych zakładach naukowych, rzeczywiście nie mam nic do powiedzenia, czegoby tamci sprawozdawcy nie napisali. Musiałbym dopuścić się conajmniej plagiatu frazesowego, za który miałbym się zpyszna od jakiego faceta, komponującego paszkwile do pism warszawskich... Otóż co do zakładu pani Boberskiej, nie powiemy nic więcej jak oświadczając życzenie, żeby każden kto się chce przekonać o postępie uczenic, sam poszedł na egzamin, ręczymy bowiem, iż wyniesie ztamtąd przekonanie o sumiennem i patrjotycznem wypełnieniu swych obowiązków przez szanowną przełożoną tego najpierwszego u nas zakładu.

Kiedy młodzież szkół publicznych poci się po ogrodach gotując do egzaminów, rzemieślnicy i robotnicy miejscy psują sobie usta i suszą sobie głowy na obrady o polepszeniu swego losu, zaś opozycja pożyczkowa nad przekonaniem obywateli miejskich, że milionów nam niepotrzeba. Dwa razy zwoływane zgromadzenia, jeszcze nie mogły się stanowczo zdecydować, czy brać lub nie brać ową pożyczkę, lecz za to zgodziły się, że trzeba coś dać przedmieściom. Na mój kronikarski rozum, to gdyby na każdego z przedmieszczan oznaczono w przybliżeniu kwotę i tę oddano do jego wyłącznej dyspozycji, na zaprowadzenie właściwych i podług osobistego gustu porządków, rzecz by się prędko ubiła. Jedenby sobie wykopał studnię, drugi położył trotuar, inny wyrychtował skweres — a niejeden posunął sztachety na pół ulicy, lub kupił materjału do warstatu. I byłoby cicho, sza... i każdy byłby tem a tem za swoje trzy grosze i urządziłby się swoim strojem, a potem niechby koleje żelazne i inteligenty ze śródmieścia płacili ową pożyczkę na uporządkowanie miasta... Panowie radni z większości, sprobójcie pójść za moją propozycją, a ręczę, że sprawa najlepiej się ułoży!...

Wśród tropikalnych upałów, każden którego losy zmuszają do pozostawania we Lwowie, szuka cieniu i świeżego powietrza w miejskim ogrodzie. Nad Pełtwią niepodobna spacerować, piękne wały gubernatorskie zostają w stanie oblężenia przez c. k. armię, więc gdzież iść jak nie do ogrodu... A ten ogród publiczny, przyznajmy, zupełnie nie wystarcza dla studziesięciutysiącznej stolicy Galicji i do tego tak ma urządzone ścieżki, że niepodobna omijać się bez obcierania. Czyby nie było już na czasie zająć się trochę tym ogrodem? Czy nie wypadałoby dokupić realność sukcesorów Skrzyńskiego i przyłączyć ją do niego; — czy nie możnaby rozszerzyć ulice urządzając choć jedną główną aleę, a zamiast kawałków cegły i kamieni, któremi ulice są wyłożone nasypać drobnego żwiru? A cóż powiedzieć o gazonach zarosłych chwastami, jak nieprzymierzając na dziedzińcu izraelickiego dziedzica na wsi. Mówimy i piszemy o melioracjach, a tu pod nosem, w stołecznem mieście Lwowie, rosną burzany nawet niezdatne na siano dla długouchych pegazów. Czyż to tak wielki koszt, kazać na zimę poorać wyniszczone gazony, popruszyć nawozem z ulic, a na wiosnę zasiać szlachetniejszemi trawami? Jesteśmy przekonani, że zakonnice zbierające gratysowe siano z tego ogrodu, gotowe będą na swój koszt tę meljorację uskutecznić, bo powiększona ilość siana, a głównie jego jakość sowicie i w krótkim czasie ten nakład wynagrodzi.

Tutejsze instytuty muzyczne również zdają publiczny rachunek z postępu uczniów za rok bieżący. Nie zaprzeczamy, że postęp jest widoczny i młodzi kandydaci na melomanów okazują biegłość w egzekucji, szczególniej w grze fortepianowej. Pytamy tylko dla czego nasi maestrowie ograniczają kierunek swój do samej muzyki, która w najlepszym razie przygotować może niezgorszych nauczycieli dla przyszłych miłośników fortepianu. Czy niebyłoby właściwem rozszerzyć zakres nauki i większy nacisk położyć na naukę spiewu? Głosów u nas, szczególniej we wschodniej Galicji nie brak, a mimo to nie możemy skleić lichej nawet opery własnej. Chcąc dziś zostać wirtuozem na jakim bądź instrumencie, ile to trzeba zużytkować pracy i kosztów, aby się wysunąć trochę naprzód, gdy

przeciwnie głos piękny z mniejszym zachodem daje najpewniejsze szanse powodzenia nie tylko u nas ale na całym obszarze świata. Dotychczas śpiewacy nasi, jakich mamy, tylko przypadkiem wydobywali się na wierzch, więc gdyby ktoś większą zwrócił uwagę na spiew i zaczął szukać głosów w różnych warstwach społeczeństwa, oddałby sztuce prawdziwą usługę i sobie nawet (jako impresario) zapewnił niemałe korzyści. Jeżeli nie możemy na innem polu, to przynajmniej na arenie sztuki starajmy się wyzyskać cudzoziemców...

URYWEK Z PODRÓŻY PO NORWEGJI

III.

Z ŻYCIA SPOŁECZNEGO.

II.

Chrystjanja.

Treść: Plac stortingu. — Norwegskie Corso. — Smocza skała. — Burgrabia Peterson. — Charakterystyka stortingu. — Dziwny eklektyzm. — Ubiór deputowanych dawniej i dziś.—Dla czego deputowany z Gjöwik siedzi na drewnianem krześle? Przywoitość w parlamencie. — Chłopi we frakach. Charakterystyka mowców. — Chłopski rozsądek. — Dla czego przepadła patetyczność? — Przygoda Christessena. — Burze w parlamencie. Dwie partje. — Björnson i Ibsen. — Niedaleka przyszłość.

Wyglądam od pół godziny z okien Grand Hotelu na plac Stortingu. Przedemną cała Carl Johanns Gade, odgrywająca tutaj rolę rzymskiego Corso. Jest to najpiękniejsza z ulic Chrystjanji, a jej część od stortingu do zamku królewskiego, może jedna z najpierwszych w Europie. Tworzy ona raczej plac niż ulicę. Z jednej strony na wyniosłej górze zamek królewski, a z drugiej naprzeciwko gmachy parlamentu.

Szczytny to pomysł! Król i storting przypominają sobie tym sposobem nieustannie o swem istnieniu. Tu także mieszczą się zabudowania uniwersytetu, bibljoteka i ministerja. Szereg licznych klombów kwiatów i gęste drzew aleje prowadzą do zamku, po za którym rozciąga się ogromny park, miejsce marzeń i spacerów Chrystjańczyków. Na placu jednak panuje ogromna cisza, przerywana tylko czasami turkotem powozów i tramwajów, przerzynających w różnych kierunkach plac stortingu. Przedemną rozciągały się w dali sine wody fjordu. Wzrok mój obejmował całą ich przestrzeń, przedostawał się aż do „smoczej skały,“ przebiegał jej wierzchołki, a dotarłszy do wysokiego łańcucha gór Oskarsborg, cofał się nazad przerażony na plac stortingu. Dwa ogromne lwy, znajdujące się przed parlamentem, przypomniały mi, żem go jeszcze nie widział. Odźwierny hotelu odszukał wkrótce burgrabiego i otóż wyruszamy do wnętrza gmachu.

Burgrabia, stary już Norwegczyk, gestykulując jednak żywo jak wszyscy Norwegczycy, mówi łamaną angielszczyzną i nazywa się wzorem $^2/_3$ Norwegczyków — Peterson. Natura stworzyła go raczej na przewodnika niż na burgrabiego. Posiada on bowiem rzadką właściwość łatwego i nieustannego zachwycania się nawet budową, którą nieustannie widzi przed sobą. Storting nie robi jednak potężnego wrażenia. Nowa to budowla; jej otwarcie datuje się bowiem od 1867 r. i nie odpowiada bynajmniej życiu reprezentowanego przez nią ludu. Dziwna to mięszanina stylu, przepychu z prostotą, coś z Westminsteru i Wersalu! Z placu wchodzi się po schodkach do ogromnej rotundy, której większą część zajmuje Odelsthing. Ogromna sala, zgięta w łuk, której cięciwę zajmuje fotel prezydenta, a wygłębienie usadowione w amfiteatr, krzesła deputowanych. Galerja wsparta na granitowych filarach, dźwiga kilkaset miejsc, przeznaczonych dla publiczności. Wielkie florentyńskie okna wpuszczają potężne promienie światła, które padając na sufit, rażą wzrok oślepiającym blaskiem. Sufit przypomina raczej salę Apollona w Luwrze. niż miejsce posiedzenia najdemokratyczniejszego z parlamentów. Czuje się na każdym kroku zbytek ornamentacji. Fotele deputowanych, obite aksamitem, jakżeż żywo przypominają ubiegłe czasy dawnego stortingu. A tak to jednak niedawno. Nie było tam miękkich foteli, ale ogromne drewniane ławki, gdzie chłopi zasiadali w swych narodowych ubiorach. Było to słowem prawdziwie demokratyczne zebranie. Dziś kosmo-polityczny frak zastąpił narodowe stroje, a miękkie siedzenia, jak wszędzie, zapraszają deputowanych do lekkiej drzemki.

Opowiadano mi, że niezbyt dawno, podczas gorących debatów, przywołany po nazwisku członek tagtingu, przetarł prędko oczy i krzyknął rozdzierającym głosem: tak!... Drugiego dnia cała burza zlała się na jego głowę, kiedy znaleziono jego głos przyłączony do wniosku kilku skrajnych.

Odtąd deputowany z Gówik odsiaduje na drewnianem krześle ciężki grzech, spełniony przeciw swemu sumieniu i wyborcom.

— Dziwnie jednak wyglądać muszą wasi chłopi we frakach — spytałem jednego ze znajomych.

— Lepsi w każdym razie od francuskich i angielskich deputowanych. U nas frak dopełnił tylko miarę przyzwoitości, cechującą od dawna storting. Jest on może pod tym względem wyjątkowym w Europie. Nigdzie nie rozlega się tak rzadko dzwonek prezydenta, nigdzie nie ma mniej owych homerycznych wybuchów śmiechu, a nigdy więcej powagi godnej reprezentantów narodu.

Dziwne to a jednak prawdziwe!

I tu grają jednak potężnie na strunach interesów narodowych, rozlegają się głosy namiętnych demagogów jak Björson i piorunujących mowców jak Rein i Wergeland, ale wszystko to rozbija się o chłopski zdrowy rozsądek. Dla niego potrzeba faktów a nie słów. Fakta zaś porywają za sobą myśl a nie ręce. Mniej tu tedy oklasków, ale więcej zastanowienia i rozwagi. Na tym przeto gruncie chłopi mogliby zawstydzić przyzwoitością nawet przybywająch tu często na posiedzenia angielskich lordów.

Od lat 20 nie pamiętają tutaj faktu odebrania głosu przez prezydującego lub też dwukrotnego przywoływania do porządku. Wszystkie usiłowania dla sprowadzenia tutaj owych pustych dzwonów, czy też głośno-brzmiących frazesów, wszystkie ataki skierowane przeciw chłopskiej wyobraźni, nie zdołały jej ani oskrzydlić, ani podbić...

Opowiadano mi mianowicie o b. prezydencie stortingu Christessen (1840), że przebiegł wszystkie klawisze retoryki, próbując odpowiedniego dla stortingu, ale naprózno. Czas jakiś oparł się on nawet na owych rozdzierających serce i myśl frazesach, sam dźwięk, których wzbudza nagle łkanie, potem...

Było to jednego pięknego poranku. Jasne promienie słońca przedostały się do szczupłej sali dawnego stortingu i biedny Christessen zdołał nakoniec dojrzeć wrażenie swoich mów. Tak, jego koledzy oparli głowy o ławki, rękami zasłaniali twarze.

Ale to był śmiech, a nie łzy..

Christessen oniemiał, ale chwilowo. Rozpacz wysuszyła mu nagle łzy i zimno, jak na wystudzonego przystało, bronił swoich wywodów. Rozsądek poniósł go tam, kędy go łzy ponieść nie były w stanie, zdobył mu oklaski...

Odtąd patetyczność przepadła na wieki!

Bywają jednak i w norwegskim stortingu burze. Wtedy szaleją one z gwałtownością huraganów; ścierają się słowa; publiczność zapełnia galerje, dziennikarze wdziewają worki popiołu lub drukują modlitwy zamiast wstępnych artykułów, a po całej Norwegji rozlegają się bójki opinji starych przesądów z postępem wieku.

I tu bowiem jak wszędzie są stronnictwa. Jedno z nich chłopskie, konserwatywne zachowawczością ludzi pługa, drugie — to coraz bardziej wysuwająca się na widownę inteligencja miast. Pierwsze stoi na straży przeszłości, drugie chce ją ożywić nowemi prądami. Chce ono mianowicie rozszerzenia praw miast, (które dotychczas wybierają tylko $^1/_3$ deputowanych), a właściwie powszechnego głosowania. To zasadniczy punkt programu »postępowców«. Dopóki ci nie przeprowadzą tej reformy, chłopi, którzy stanowią $^2/_3$ stortingu, paraliżują wszystkie ich myśli. Norwegja przejdzie tedy wkrótce ową fazę, jaką przeszła arystokratyczna Anglja w 1840 r. przy przeprowadzeniu bilu reformy.

Ta walka w życiu odbiła się i na przedstawicielach norwegskiej myśli. Partję ludową reprezentuje tedy gwałtowny Björson, czołem drugiej jest Ibsen. Pierwszy widzi w swym narodzie uosobienie moralnego i politycznego zdrowia. Odgrywa on tu rolę proroka, z namaszczeniem mówiącego o teraźniejszej i przyszłej wielkości swego ludu. Z drugiej znów strony, prześladowany i nienawidzony przez chłopów gienialny Ibsen, wpadł w drugą sprzeczność. Patrząc zgorżkniały doznanémi przeciwnośsiami na naród — z punktu swych zawodów, oblewa on nieustannie Norwegję swą krwią i żółcią. Opuściwszy kraj, śle on jednak do swoich często zachęty, przeplatane wojowniczemi pobudkami i rozszarpującą go nienawiścią. Liberalne dzienniki na klęczkach przyjmują utwory swego mistrza, młodzież się na nich zagrzewa do boju a chłopi do... oporu.

Czy partja liberalna weźmie górę? Tymczasowo zaspokaja ich pewność zwycięstwa. Nie mają oni co prawda tutaj królów Wilhelmów, którzyby czynnym udziałem mogli przyczynić się na razie do zwycięztwa, ale nie zbraknie pewnie u tego dzielnego ludu chłopskich Russelów i miejskich O'Connelów, którzy ochronią swój naród od nieszczęść, jakie pociąga zwykle za sobą kładzenie się w poprzek dążnościom wieku...

III.

Treść: Powrót z fiordu. — Ciekawość i apetyt. — Dampkjökenet. — Dziwny widok. — Równość społeczna i dobra kuchnia. — Nowa znajomość. — Uniwersytet. — Organizacja życia studenckiego. — Regencja i «Dom studencki».

Wracałem z przejażdżki po fiordzie. Zmęczyłem się długim spacerem, a jeszcze bardziej

wiosłowaniem. Dotarłem tedy do jednej z morskich kąpieli, zanurzyłem się kilka minut do wody i pomknąłem na miasto. Głodny szukałem restauracji, niby jeden z naszych filozofów wymykającej mu się nieustannie z rąk prawdy. Na rogu Torregade spostrzegłem nakoniec szyld: Dampkjökenet. Na myśl mi przychodzi wszystko, com słyszał o tej kuchni taniej; wpadam tam przeto, zabijając jednym strzałem dwie zwierzyny: ciekawość i apetyt. Ogromny szereg sal i z jakie tysiąc uderzających naraz o talerze widelców! Widok szczytniejszy, niż sale paryskiego Duvala. Jednym pędem przebiegam kilkadziesiąt stołów biesiadujących. Jakaż tam rozmaitość ubiorów, ludzi i stanów! Tu chłop siedzi w swym góralskim stroju, ówdzie znów jakiś kantorowicz, tu znów pastor prowincjonalny, tam z teką papierów literat jakiś czy adwokat. Wszyscy przeplatani ze sobą, siedzą i rozmawiają żywo. Talerze znikają. Miejsca opróżniają się i znów za pełniają. Ruch nieustanny, porywający za sobą wszystkich i wszystko, tylko nie apetyt. Siadam tedy przy jednym ze stolików, delektując się równocześnie smakiem pysznego norwegskiego homara i widokiem otoczenia.

Na Jowisza! jakież homary wywołują paradoksy. Pyszna kuchnia przyprowadziła mi na myśl ideę społecznej równości. A jednak nic nad to naturalniejszego! Równość wyklucza przesadę i oszczędność zastępuje wtedy przepych. Jedząc, każdy myśli o normalnem i zdrowem zaspokojeniu swego apetytu, a nie o zbudowaniu sobie drogą wykwintnego jadła karjerowych szczebli. Fałszywy jakiś wstyd czy też chęć odgrywania roli nie wstrzymuje tedy od uczęszczania do kuchni taniej wszystkich potrzebujących. To też na miasto liczące 100,000 mieszkańców, tutejsza kuchnia tania wydaje więcej niż 2,000 obiadów.

Ogromny popyt wywołuje taniość towarów tak pod względem ceny jak i dobroci. Za 20 öre (naszych 30 do 40 gr.) zjada się przeto obiad zgodny z najwybredniejszemi wymaganiami smaku i hygieny. Na ich powodzenie nie złożyły się więc nawet jakieś idealne hrabiny, któreby wzorem naszych arystokratycznych męczenniczek, były zmuszone przy deżurach wzruszać się losem jakiej rozłzawionej heroiny romansu i widokiem brudnej miski zrazów z kaszą. O kapryśny losie! kuchnie nasze zbudowane na fundamencie współczucia, zwilżone arystokratycznemi łzami i perfumami, upadły, a kuchnia tania w Chrystjanji żyje i rozwija się na chwałę społeczeństwa i kieszeni jej założycieli.

Tuż przy mnie siedział jakiś student miejscowy, z którym zawiązałem po chwili komiczną ze strony językowej znajomość. Jöns Christjö, nie mówiąc ani jednym ościennym językiem, rozumiał znów kilka. Używał on tedy jakiejś dziwnej mięszaniny angielskiego, francuskiego i niemieckiego, przeplatając je od czasu do czasu jakąś klasyczną cytatą.

— Tantanae animis coelestibus irae! Okropnemi są wyroki nieba — krzyknął on, odsuwając od siebie talerz. Otóż, patrz pan, już skończyliśmy, a mój apetyt wciąż jeszcze grozi mi rewolucją.

— Wszystko więc ulega wpływom szerokości geograficznej, tylko nie studencki apetyt.

— Masz pan rację — odpowiada wykrzywiając się komicznie Chrystjö — to jedyna bezwzględna prawda.

— Powiedz mi pan jednak, czemu nie widać tutaj prawie kobiet?...

— Ha! ha! ha! — zaśmiał się Jöns. Powiedziałbym panu, że nie jadają, ale i pan niedawno byłeś studentem, a więc jadają, ale nasi moraliści niezbyt chętnie widzą kobiety w miejscach publicznych. Dla tego prawie nigdy nie spotykasz ich pan w kawiarniach, ani restauracjach, ale założono zresztą nie dawno specjalną restaurację dla kobiet, Christjö proponuje mi po chwili, bym poszedł z nim obejrzeć uniwersytet.

— Wybierałem się tam właśnie — odrzekłem mu w odpowiedzi.

— A więc chodźmy — i gwiżdżąc ulubioną przez Norwegczyków marynarską piosenkę:

Busmy, lying in the grass
Sawthe sining column pass,

Christjö pociągnął mnie za sobą przed zabudowania uniwersyteckie.

Znaleźliśmy się przeto znów na Carl Johanns Gade, przed szeregiem kilku domów, z których jeden przypominający paryską Madeleine, stanowi muzeum, a dwa boczne jego skrzydła właściwy uniwersytet. W tutejszej wszechnicy bywa w przecięciu do 1000 słuchaczy i do 50 profesorów. Dziwna jednak organizacja ich życia wewnętrznego. Zamiast rozpraszać studentów na różne kółka, jak w Upsali, łączą ich przeciwnie w jedno wielkie koło. Wszyscy bowiem studenci wraz z profesorami, kandydatami praw, teologji, i w ogóle ze wszystkimi tymi, co niedawno ukończyli uniwersytet, stanowią jedno wielkie stowarzyszenie.

Jest tu więc wprost przeciwnie jak w Szwecji. W Upsali n. p. jest 8 bractw, z których każde nosi nazwę jakiejś prowincji. Każdy student obowiązanym jest zapisać się do jednego z nich. Bractwo ma swój własny dom, a w nim bibljotekę, salę zebrań, fortepiany i także kilka mieszkań dla biednych członków.

Istneje jednak w Chrystjanji jedna nader doniosła instytucja, jakiej brak w uniwersytetach szwedzkich. Jest to tak zwany „Dom studencki"*) urządzony na sposób sławnej „Regencji" w Kopenhadze. W domu takim studenci otrzymują bezpłatnie lub też za bardzo skromną płacę wszystko, poczynając od mieszkania, a kończąc na jedzeniu. W Kopenhadze „Regencja" utrzymuje obecnie do 200 studentów, a w Chrystjanji przebywa obecnie w „Domu studenckim" około 30. Dom ten bowiem założony dopiero dwa lat temu, nie zdołał się jeszcze dostatecznie rozwinąć. Główną zasługę jego założenia, jak zwykle to tutaj bywa, przypisać należy kilku osobom prywatnym, do ofiar których dołączył zresztą znaczny zasiłek i król Oskar II. W domu mieszkają studenci w osobnych skromnych pokoikach, mając oprócz tego oddzielną salę zebrań z fortepianem i bibljoteką.

Ofiary jednak nieustannie przypływają i dają nadzieję, że z czasem można będzie postawić tę instytucję na wysokości „Regencji."

Pora wakacyjna rozstrzeliła w różne strony mieszkańców Studentenhejmu. Błądziłem tedy z Chrystjö po pustych pokojach, po których rozlegały się zresztą nieustannie jego studenckie piosenki...

(Ciąg dalszy nastąpi.)

*) Les beaux esprits se rencontrent! Coś podobnego napotkałem w Tunisie w «medresach» — gdzie kosztem beja utrzymuje się przeszło... 1000 studentów.

KORRESPONDENCJA.

Zürich. W czerwcu 1881.

(*Świeczniki Nerona*. Siemiradzkiego. — On a Hans Mackart. — Słówko o Siemiradzkim, jako malarzu. — Święto śpiewackie w Zürychu — Pewien zakaz i uwaga krótka o jego społecznem znaczeniu.)

Zaczniemy od tego, co nas niby bliżej obchodzi lub obchodziło przed chwilą i jak na ten raz słusznie nawet, boć pewna, że „nas" (Polaków) aż za często obchodzić się zdają, i to bardzo, przeróżne historje, które rzeczywiście poważnej obchodzić nie powinny nic wcale, albo też mało tylko... Na dziś więc bez ironji. Dziś nie chcemy, aby w pierwszych zaraz wyrazach naszych ukrytą jakąś myśl złośliwą odnaleziono... Najszczerzej i najistotniej, wystawienie w sali przysięgłych sądu tutejszego *Świeczników Nerona* obchodziło nas dosyć żywo. Miło nam kilka słów wypadkowi temu poświęcić, miło nam się przyznać, że on w życiu naszem wygnańczem był wypadkiem niezwykłym a przyjemnym wcale...

Mieliśmy sposobność przed laty kilku raz już znakomite to płótno widzieć; widzieliśmy też w rozmaitych czasach i rozlicznych miejscach prawie wszystkie ważniejsze naszego mistrza obrazy; znane nam i rzeczy drobniejsze... coś z pierwszych prób nawet i szkiców, jakie się przechowywały u rodziny malarza w Warszawie, ale nic z tego nie dało nam takich wrażeń, jakiemi tutaj rozkoszowaliśmy się, żadne z wrażeń dawnych z dzisiejszem porównać się nie da: wszystkie były słabsze, niezupełnie zrozumiałe... Wyjątek możemy zrobić jedynie dla *Jawno-grzesznicy*, bo ona była pierwszym Siemiradzkiego obrazem, jaki widzieliśmy; było to więc wrażenie pierwszego z nim zapoznania się i naturalnie silne ogromnie, jak wszystkie pierwsze spotkania na drodze życia duchów niepospolitych, a co więcej sympatycznych nie jedynie strojem przepysznym, nie jedynie cudowną formą, w jakiej swą twórczość objawiają, ale tej twórczości treścią wielką i żywą, obfitą w myśl i ciepłą uczuciem...

Spotęgowanie siły mego wrażenia przed *Świecznikami Nerona*, kiedym je oglądał tutaj, drobnej na pozór przypsuję okoliczności, mianowicie: wystawieniu ich obok pięciu płócien Mackarta, na których upostaciowane „pięć zmysłów" (właściwie zaś tylko pięć bezceremonialnie rozebranych ciał kobiecych: dwie rozebrane z przodu, a trzy z tyłu... w dodatku masz trochę liścia, parę szmatek materji itp. kawałków w dość skąpych dozach). Prócz tych oryginałów mogliśmy jeszcze oglądać kollekcję świetnych fotografij z dzieł Mackarta.

Twórca *Wjazdu do Antwerpji* jest mistrzem bez wątpienia; jego artyzm przynajmniej równy Siemiradzkiego artyzmowi, w kolorycie zdaje się*) mu nie ustępuje, kto wie, czy nie żywszy nawet, w konturach może doskonalszy i co główna, wyraźniejszy; odważny w grupowaniu równie, a w effektach komicznych i śmielszy i oryginalny niezmiernie... ale na żadnem z swych płócien nie może położyć podobnego napisu do tego, jaki przypięto na ramach obrazu Siemiradzkiego, jego obrazy nie mówią: *Zaświeci w pomrokach światło i nie pokonają go nocy cienie!*

Może w tem wszakże niższość Siemiradzkiego... może właśnie Mackart „realista", a on

*) «Zdaje się», bo znając mało utworów tego artysty w oryginale, należytego o jego kolorycie pojęcia nie mamy.

nie — to dziś tak wiele znaczy, to dziś dla wielu papug jest wszystkiem prawie — może nasz mistrz sadzi się i wysila na tendencyjność, może sztukę „tendencjami“ gwałci?? Czyż istotnie?... Nie wiem, czy realizmu Siemiradzkiego obrazom kto odmawiać może, o ile wiemy o co innego właściwie go pomawiano... wedle naszego zdania, jest on tak realny w malowaniu, jak Zola w romansie i z pewnością realista taki jak Mackart, (przy użyciu wyrazu „realista“ w pospolitem, nie zawsze słusznem jednak znaczeniu.) Ale wiedeński mistrz zanadto się rozlubował w „nagościach“, one go zbytnio zaprzątają, one każą mu nieraz zapominać o wszystkiem innem... To jego słaba strona, uczepił się jej namiętnie, wyjeżdża zawsze z nią głównie, aż do znudzenia... Mało co więcej widzisz u niego jak ciała nagie; nie przeczymy, że piękne... tak bardzo, tak dalece piękne, iż nigdy go nie można nazwać obrzydliwym za to obdzieranie ciała z pokrywy wszelkiej, owszem trzeba być mu wdzięcznym za to; czujesz, wiesz doskonale, tworom jego się przyglądając, że masz do czynienia z duchem na istotne (chociaż zewnętrzne tylko) piękno czułym, a nie z lubieżnikiem powszedniej miary... Tego jednakże nie dosyć, dla nas nie dosyć przynajmniej, bo mimo to wszystko, nie wiadomo dla czego to wszystko ma być piękne co Mackart maluje, a często bardzo wypada nawet przeczyć jego piękna pojmowaniu.

Realizm jego ma wadę jedną i to wadę ogromną, bo w wysokim stopniu anti-realistyczną: nie masz u niego nigdzie prawie kontrastu*), obok tego, co chce światu pięknem ogłosić, nigdzie nie położy żadnej brzydoty, choćby „estetycznej“ tylko i to właśnie nie realne, bo takiego oderwania piękna od brzydoty nigdzie w życiu nie masz. Ale to jeszcze nie wszystko, to jeszcze najmniejsza, to tylko realizmu wada, to grzech wszystkich artystów-estetyków, zarzut ten nawet do Madony Rafaela stosować można (co nas bynajmniej nie przeraża!), ale pod tem kryje się grzech większy; Mackart depcze etyczną zasadę, bo piękność estetyczna pokrywa u niego nie piękno moralne i socjalne, bo płącze on tak ściśle i nierozerwalnie ze sobą te dwa pierwiastki, że nie jeden z nich zdaje mu się być ideałem, ale oba razem, albo znać przynajmniej, że bardzo niewyraźnie różnicę między nimi odczuwa... nie zastanawia się nad tem, jakby granica między jednem a drugiem igraszką dla niego była; zgoła jest on tu dziwnie płochy, tak nieledwie płochy, jak ubrane i nieubrane jego obrazów kokietki... Mimo „realizm“ swój w pewnych względach, Mackart w tym razie zbliża się do wyznawców „czystej estetyki“, do estetyków formy, którzy pospolicie o treść mało dbali, co i realizmem nie jest i obrzydliwie niesłusznem, bo nas zawsze, pókiśmy żywe i niestrupieszałe jednostki, w życiu, we wszystkich zakresach, treść więcej niż forma obchodzi i *obchodzić powinna...*

Tak uważane piękno w obrazach Mackarta nie da się uznać za coś żywego, zaś coś twórczego społecznie... nic ono w największych i najsławniejszych jego obrazach do widza nie mówi. W największym i najszczerszym zachwycie jego płótnami, nie powiesz, aby on żył *socjalnie* **), on cię nie zwalcza i niczego w twym umyśle zwalczyć nie chce... on niczego nie broni, ani też na nic nie napada... pewnyś, że Mackart, o ile go w obrazach widzisz, czyli o tyle, o ile on nas zajmować może, jest nie tylko socjalnie, ale i w ogóle umysłowo apatyczną jednostką.

Powiedzielibyśmy o Mackarcie, że on nie lubi pracować mózgiem, najdogodniej mu z wierzeniem, wierzy on tylko w odtwarzane piękno i chce, żebyś mu wierzył bezmyślnie...

(Dokończenie nastąpi.)

*) Mamy na myśli głównie *Wjazd do Antwerpji, Łowy Dyjany* i parę innych płócien, które więcej zachwycają powszechność niż oba obrazki z *Romeo i Julji* lub *Faust i Margarita*, wedle nas, mniej mistrzowskie, ale sympatyczne więcej, bo jest w nich coś z życia psychicznego przynajmniej.

**) W *Wjeździe do Antwerpji* żadna z postaci psychicznego nawet nie budzi interesu... albo bardzo mały; walka jaka musiała się odbywać w każdej z kobiet, uradowanych niby z przyjazdu *Karola V*, a jednak nie koniecznie zaraz z tego uradowania bez odzieży po mieście spacerować się decydujących, walka ta, mówię, między uradowaniem a skromnością niezmiernie słabo uwydatniona... może na dwóch albo trzech tylko twarzach. Taki sam brak psychicznego interesu w *Łowach Dyjany*.... jedna twarz bogini ma coś wyrażać... Albo np. dwa warjanty *Kleopatry* zabijającej się ukąszeniem węża! Przysiągłbyś, że ani jedna z nich nic nie miała na myśli przedtem, jak rozbieranie się tylko! I tak prawie wszędzie i tak prawie zawsze!

Wiadomości z kraju i ze świata.

Literackie, artystyczne i naukowe.

*** Na ostatnim XXIX posiedzeniu „Koła literackiego“, p. Włodzimierz Milowicz, zdawał sprawę z dzieła p. t „Vom Nicolaus d. Ien, bis Alexander den. IIIen“, zaś p. dr. Juljan Ochorowicz mówił o t. z. magnetyzmie zwierzęcym, która to wszakże zajmująca rozprawa, z powodu zbyt spóźnionej pory w całości powiedzianą być nie mogła i odłożoną została do następnego posiedzenia, które odbędzie się w piątek, d. 8. bm.

*** Dr. fil. Piotr Chmielowski został ostatecznie zatwierdzony w obowiązkach profesora literatury polskiej na Uniwersytecie warszawskim.

*** Przyjemną z czytelnikami dzielimy się wiadomością. Znakomity tłómacz Don Juana, Wiktor hr. Baworowski przygotowuje do druku dalsze pieśni tego arcydzieła Bajrrona, od 5 do 10ej, obejmujące dwie części p. t. „W haremie“ i „Caryca.“ Tak więc wkrótce będziemy już mieli około 11,000 wierszy przekładu Don Juana, który cały składa się z 16.000 wierszy. Będzie to jedna z najobszerniejszych prac poetycznych w naszem piśmiennictwie.

*** „Koło literackie“ we Lwowie ogłasza konkurs na napisanie książeczki o królu Janie Sobieskim, ze szczególnem uwzględnieniem wyprawy wiedeńskiej, tudzież zasług, jakie ten król dla podniesienia dobrobytu wszystkich warstw społeczeństwa naszego położył.

Książeczka ta obejmować ma około 4 arkuszy druku, i jako przeznaczona dla użytku ludności wiejskiej i małomieszczańskiej, napisaną być winna z zachowaniem ścisłej prawdy historycznej, stylem i językiem przystępnym, poprawnym i obrazowym. Termin nadsyłania prac pod adresem podpisanego prezesa. Koła literackiego we Lwowie, naznacza się na dzień 1go stycznia 1882 r.

Każdy rękopis opatrzony ma być dewizą; nazwisko zaś i adres autora dołączone w oddzielnie zapieczętowanej kopercie z tą samą dewizą. Za najlepszą z prac uznanych przez komitet konkursowy, otrzyma autor honorarjum sto (100) złr. wal. austr tudzież 100 egzemplarzy wydanej kosztem Koła literackiego książeczki. Prawo wydawania dalszych edycyj zostaje przy autorze.

Do komitetu należą pp. Władysław Bełza, hr. Jan Aleksander Fredro, dr. Bernard Goldman, dr. Wojciech Kętrzyński, dr. Ludwik Kubala, dr. Ksawery Liske, dr. Antoni Małecki, Włodzimierz Milowicz, dr. Julian Ochorowicz, Zygmunt Sawczyński, Albert Wilczyński i dr. Tadeusz Wojciechowski.

Nadmienia się w końcu, że czysty zysk, osiągnięty z rozsprzedaży edycji tej książeczki, Koło literackie przeznacza na ustanowienie nowego konukrsu dla dalszych wydawnictw, mających na celu szerzenie zdrowej oświaty między ludem. Wszystkie pisma polskie upraszamy o powtórzenie niniejszej odezwy. We Lwowie dnia 19. czerwca 1881 r. W imieniu Koła literackiego. Dr. Ksawery Liske, prezes. Władysław Bełza, sekretarz.

*** Dzienniki paryskie donoszą z wielką stanowczością, iż Gambeta, prezydent Izby deputowanych, wkrótce przejdzie w szeregi „nieśmiertelnych“ członków akademji francuskiej.

*** W Harcicane, w Ameryce, wychodzi od niejakiego czasu dziennik polityczno-literacki, którego naczelną i jedyną redaktorką jest dwunastoletnia panienka.

Społeczne i ekonomiczne.

*** W Waszkowcach na Bukowinie, założono Towarzystwo szerzenia oświaty polskiej.

*** „Narodni listy“ podają rezultat spisu ludności w Czechach, według którego w ogólnej liczbie 5.557,134 mieszkańców znajduje się 3,440,812 Czechów; na 1000 mieszkańców przypada przeto 381 Niemców.

*** Jezuici urządzają wielkie kolegjum w Port-Said.

*** Widoki zbiorów tegorocznych w Anglji nie zbyt pomyślnie się zapowiadają w obecnej chwili; trzebaby wyjątkowej pogody, aby zbiory wypadły dobrze.

*** Na stacji głównej kolei warszawsko-wiedeńskiej prowadzą się roboty około urządzenia aparatu kontrolującego nastawianie zwrotnic, przez które przebiegają pociągi na całej linji stacji Warszawa.

Kontrola ta opierać się będzie na tem, iż za pomocą elektryczności, na tablicy, ustawionej w biurze zawiadowcy, każdej chwili widzieć będzie można, czy zwrotnice pod pociąg dobrze są nastawione.

Wobec częstych wypadków, powstających z mylnego nastawienia zwrotnic, wynalazek ten znajdzie zapewne szersze zastosowanie na stacjach tutejszych dróg żelaznych.

*** Podobno na Podolu inżynier Żebrowski odkrył pokłady węgla kamiennego.

*** Każdemu, kto ma do czynienia z czynnościami biurowemi i t. p., gdzie zachodzi potrzeba zdejmowania z jednego egzemplarza kilkudziesięciu kopij, znaną jest dogodność, jaką przedstawia wynalazek zwany hektografem.

Wynalazek ten jednakże, jako pierwszy w tym rodzaju, miał swe niedogodności.

Obecnie, jak nam donoszą, wynaleziony został innego rodzaju hektograf, bardzo prosty, składający się tylko z papieru, do którego nie potrzeba wody, atrament zaś używany do tego jest rzadki i może (nr. 1) służyć również do zwyczajnego pisma.

Wynalazcą wspomnianego hektografu jest kapitan 12-go staro-dubowskiego pułku dragonów, p. Grygorjew, zamieszkały w Petersburgu.

Z Drukarni „Gazety Narodowej“ — Wydawca i odpowiedzialny Redaktor Mikołaj Biernacki.